

Jacek Chrobaczyński

JAK POLITYKA HISTORYCZNA USTANAWIA, FILTRUJE I USUWA BOHATERÓW

Zapisał pięknie Czesław Miłosz, poeta znamienity:

*Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego [...]*

I jeszcze, proroczo jak sądzę, przestrzegał w tym wierszu:

*Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.*

Pytanie historyka, po lekturze tej wspaniałej poezji, brzmi: czy historia, a bardziej czy historią, tą badaną, zbadaną, tą studiowaną i nauczaną, tą czytana, wyświetlaną czy wystawianą itd., można *skrzywdzić człowieka*? Skrzywdzić dogłębnie, boleśnie, pamiętliwie? Wyeliminować jednych, a innych wskazać jako bohaterów? Czy, tym samym, można, poprzez historię, czy dzięki historii, skrzywdzić osobę, grupę społeczną, wreszcie społeczeństwo? Ich świadomość i mentalność, wychowanie, postawy wreszcie? Czy można skrzywdzić ich ideały, wartości i pamięć? I co z niej, tej historii, powinniśmy przede wszystkim zapamiętać, pamiętać, bez pamiętliwej złośliwości czy zادیorności, ale też i dychotomii spojrzenia, czyli spojrzenia wykluczającego lub akceptującego, wedle starej zasady: *Kto nie z nami, ten przeciwko nam*? I bez manipulacji. Tym bardziej, że historia, szerzej proces historyczny, to nie tylko i niewyłącznie wojny i bohaterskie dzieje państw i społeczeństw, dzieje społeczno-gospodarcze, przelana krew. To nie tylko królowie, cesarze i generalni sekretarze, wodzowie, bohaterowie i ofiary, nie tylko święci, ale również zdrajcy, kolaboranci, zabójcy, bandyci. Donosiciele i szmalcownicy. Także *komuniści i złodzieje*, idąc myślowym tropem pewnego poselskiego, współczesnego „intelektualisty”. Ale też i inni, zwyczajni, nazywani

niekiedy *mass manami*, szarymi ludźmi, a czasem wręcz mięsem armatnim lub ciemnym ludem, który powinien to kupić. A przy okazji powstać [np.] z kolan.

Pytanie też inne warto tu, za poetą, postawić: czy *gromada błaznów* mieszająca *dobre i złe* w historii, w dziejach, ale również i w tym, co nazywamy pamięcią i świadomością historyczną, także postpamięcią, tj. pamięcią przekazywaną, istnieje nadal? Czy jest obecna, oddziałuje, ma wpływ, jest drogowskazem wyznaczającym drogę i kierunek właściwy i jedynie słuszny w tym wyborze bohaterów lub ich spostonowaniu? I wymaga? Więcej, nie słucha nikogo, bowiem sama wie, że wie najlepiej? A może tylko wie to, czego oczekują władcy, wodzowie, partyjni watażkowie? Bo owa *gromada błaznów* na przykład dysponuje władzą, środkami propagandy, mediami, kształtuje i narzuca narrację? Także historyczną. To ważne narzędzia, „dysponuje” nimi państwo, ale udostępnia, zazwyczaj, sprawującym władzę i poprzez sprawowanie władzy (*dzięki suwerenowi, suweren nas upoważnił, suweren oczekuje*, jakkolwiek to śmiesznie by nie zabrzmiało). Można je dobrze, ale i katastrofalnie, wykorzystać. Tylko np. dlatego, że *gromada błaznów* chce zmienić na gorsze, np. konstytucję, podręcznik historii, zalecane lektury, także listę bohaterów itd. Zatem, zdecydowanie wymaga *gromada* ta, nawet jeżeli dysponuje nie swoimi, tylko publicznymi pieniędzmi, czyli pieniędzmi nas wszystkich. Więcej, uważa, że tylko ona ma do tego prawo! A jeżeli tak, to co to *de facto* oznacza? To zysk społeczny, zysk nauki historycznej czy raczej tylko koszt? I to nie tylko bieżący, krótkookresowy, ale i długookresowy. Koszt społeczny, edukacyjny, świadomościowo-mentalny, koszt w postawach, zachowaniach, strategiach wyboru tego postępowania. W tym koniunkturalizm, lizusostwo, bezkrytyczność itd.

Czy historia, jako dyscyplina akademicka (nauka), historia wykładana na uniwersytetach, nauczana w szkołach, ale i historia obecna w codzienności, wokół nas, też historia „dzijająca się”, choć często nie zdajemy sobie z tego sprawy (ulica, pomnik, film, teatr, opera, narzucany wulgarnie bohater, stojący na skwerku, od zakończenia wojny, ruski czołg T-34, jako antybohater itd.) pozostaje, cytując poetę, *bezpieczną*? I co wreszcie, z „lekarzem” historii, czyli historykiem, autorem, wykładowcą, nauczycielem, ale i pisarzem, poetą, filmowcem, reżyserem? Czy dobrze on/oni *spisuj/spisują czyny i rozmowy*? Czy też nie najlepiej? Hołdują wolności badań i wolności twórczej, czy też „przymuszeni”, przynajmniej niektórzy, tzw. dworscy i usłużni, czynią inaczej? Czy wolą być wolni i niezależni, czy też wolą wybrać dworskość postępowania lub marionetkowość („pomazańczy” wodza)? Wódz oczekuje, więc spełniamy, najniższej, wolę wodza, oczekiwania wodza, a jak trzeba, to nawet wyprzedzamy myśli wodza. Który nie zapomni o nagrodzie.

Znamy te zjawiska przecież, można do tej „twórczości” sięgać, jest archiwizowana, stanowi niekiedy solidny dowód w sprawie. Ale czy z niej się uczymy, czy właściwie analizujemy i czy właściwe wyciągamy wnioski?

Dużo pytań już na wstępie, ale ważnych, potrzebnych, wręcz niezbędnych. Trudnych, często jątrzących i polaryzujących. Może nie pierwszej rangi w bieżącej, często złowrogiej codzienności, ale doprawdy ważnych, przelewających się przez wszystkie ogniwa tzw. informacji, komunikacji, nadawcy i odbiorcy. Często w szkole, na religii, czy demonstracjach, a nawet na sklepowych wystawach, np. z tzw. patriotyczną odzieżą [sic! – wszystko jest już patriotyzmem].

Może i historia, dyscyplina naukowa i przedmiot studiowany oraz nauczany, nie jest najważniejsza w palecie edukacji i naukowych dyscyplin, ale często to przede wszystkim ona staje się *natchnieniem milionów i natchnieniem do wierzenia podawanym*, istotą języka, stylistyki, propagandy czy wręcz manierą. Staje się zarówno polityką i politycznością, wręcz politykierstwem, jak i ideologią, religią oraz propagandą w jednym.

Znamy dziesiątki przykładów. Nikt nie mówi „polityka fizyczna”, „polityka biologiczna”, „polityka matematyczna”, a tysiące upierają się, że istnieje coś, co nazywają „polityką historyczną”. Dlaczego? I czy mają do tego prawo? Kto im tego prawa udzielił? I w czym imieniu myślą w ten sposób (polityka) tylko o jednej, a nie wszystkich dyscyplinach naukowych? Bowiem „polityka naukowa” to nie równoważnik, to nie nauka, to zupełnie coś innego, to powinność państwa wobec obywateli. W tej kategorii na pewno nie mieści się tzw. polityka historyczna. A kto tak uważa, uprawia narrację i propagandę fałszu. Można to nazwać *śmieciową niby-nauką*¹, która, coraz bardziej, dzięki politykom,

¹ Cyt. za: Deborah Lipstadt. Por. *Nie rozmawiaj z kłamcą*. Z Deborah Lipstadt rozmawia Paweł Smoleński, „Gazeta Wyborcza”. Magazyn Świąteczny, 28–29 stycznia 2017, s. 29. Kanwą rozmowy jest sądowy spór David Irving – Deborah Lipstadt (1996), która w swej znakomitej pracy poświęconej Holokaustowi (*Negowanie Holocaustu*) dowodziła kłamstw „naukowych” Irvinga, który neguje zbrodnię na Żydach. Historyczka proces wygrała, udowodniła, że Irwin świadomie kłamie na temat Zagłady, a sędzia, ogłaszając wyrok, stwierdził z wielką determinacją: *Powodowany swoimi głębokimi poglądami ideologicznymi Irving systematycznie i z premedytacją zniekształcał materiał historyczny i manipulował nim; z tych samych powodów przedstawił Hitlera w niemożliwym do usprawiedliwienia, pozytywnym świetle, przede wszystkim w związku z jego stosunkiem do Żydów i odpowiedzialnością za ich traktowanie; aktywnie zaprzecza istnieniu Holocaustu, jest antysemitą i rasistą związanym z prawicowymi ekstremistami propagującymi neonazizm*. Mocne słowa, wobec, uważanego za gwiazdę nauki historycznej D. Irvinga. Ale Irving nie jest gwiazdą nauki historycznej. To klasyczny przykład „naukowca” uprawiającego właśnie śmieciową niby-naukę. Na marginesie: w styczniu 2017 r., na ekrany polskich kin wszedł film pt. *Kłamstwo*, nakręcony na podstawie tego procesu.

politykierom i ideologom-zaklinaczom, zaczyna zdobywać prawo obywatelstwa. Zaczyna się rozpychać kosztem prawdziwej nauki historycznej. Tej nie na niby.

Dzieje wielkich i małych monarchii, państw, systemów to nie tylko biografie, ale również nasza mała historia. Nasze mikrohistorie – najczęściej w nowocześniejszej metodologii tak o tej historii mówimy: nasza historia, historia bliższa, historia naszej rodziny, moja historia. Historyk doda: „ja” w historii, tj. w biegu dziejów, „my” w historii, „oni” w historii. I konteksty: my – oni, a często tylko oni, rządzący – rządzeni, partyjni – bezpartyjni, elita – łże-elita, świat ich – świat nasz, pierwszy sort – drugi sort, AK – gestapo, my i ZOMO itp. Można mnożyć te konstrukty, jedne mądre i ważne, inne haniebne i głupie po prostu, ale chodzi mi tylko o wskazówkę. Jestem bowiem pilnym obserwatorem również i „zastosowań” historii (tu w znaczeniu: pseudohistorii, czyli niby-nauki) w bieżącej polityce, wyniszczającej walce politycznej, ideologicznej a nawet religijnej. A jest tych dziwnych, niekiedy niepojętych, wręcz niezrozumiałych „korelacji” bardzo, bardzo dużo. I miejsc „uprawy” tej niby-nauki, całkiem sporo w III RP. Zupełnie zresztą bez pożytku jakiegokolwiek.

Dlatego to nie wszystkie rzecz jasna pytania, które historii, procesowi historycznemu towarzyszą. Stawiają pytania badacze, szczególnie to pytanie najważniejsze – dlaczego, stawiają też kolejne pokolenia, weryfikują, spierają się, więcej – kłócą. Także i dlatego, że historia jest częścią polityki, częścią ideologii, częścią wreszcie religii. Tak było, jest i zapewne będzie.

Czasem wręcz mam wrażenie, że społeczeństwo, idąc do przodu codziennie, zawsze niemal, w mniejszym czy większym stopniu, ma głowę skierowaną do tyłu, ku czasowi przeszłemu, ku pomnikom, bohaterom przegranych bitew i powstań itd.

Spacer ulicą czy placem, mającymi tę przypadłość, że nazwano je imieniem i nazwiskiem kogoś, może być też ciekawą lekcją historii. Dlatego, każda niemal historia „zmiany”, pokazuje całe często bogactwo intelektu i twórczości – bohater staje się antybohaterem, potem bywa na odwrót.

Te mikrohistorie bohaterów i antybohaterów ulic, placów itd. pokazują, jak mocno historia i historyczność zakorzenione są na wszystkich niemal szczeblach społecznych – środowiskowych, lokalnych, krajowych a nawet szerzej. Jak mogą oddziaływać źle czy dobrze, często bez sensu, ale jednak oddziaływać (prasa, radio, telewizja, wypowiedzi historyków, polityków, lokalnych radnych, softysów nawet). Także i dlatego, zapewne, historia może być łatwo

wykorzystywana, cytowana, ale również i manipulowana. Stąd mnogie nią zainteresowanie, a także i spór.

Czy to zainteresowanie jest rzeczywiste, czy tylko akcyjno-polityczne lub ideologiczne, transparentowe, rocznicowe (słynne miesięcznice np.)? Ale te przypadłości to także i obraz lekceważenia historii. Stąd często, po złych doświadczeniach politycznych, słychać: *zwycięzcy piszą historię na nowo, teraz już prawdziwą*. Więcej, znajdują do tego nowego zadania, zawsze niemal, autorów. Tak niestety bywało, bywa, może bywać. To raczej pewne, także i w dzisiejszej polsko-polskiej perspektywie spojrzenia, refleksu, polityki niestety, w tym i *polityki zwycięzców*, którym *suveren* powierzył *wstawanie z kolan*.

A przecież powinniśmy „pisać” historię rzetelnie i sprawiedliwie. Tylko tyle i aż tyle. To by w zupełności wystarczało, ale – jak widać dowodnie – nie wystarcza: politykom i ideologom, czasem duchownym, dużym i małym wodzom i przywódcom, wreszcie tzw. suverenowi. Temu ostatniemu, może nie całemu, tylko jakiejś mniejszej jego części, ale jednak też, nie wystarcza. Podatnych na manipulację bowiem, także historią, zawsze w społeczeństwie jest niemało.

Historia nie jest nauką empiryczną, choć nauką pozostaje. Także, wbrew tym wszystkim, którzy woleliby, aby stała się po prostu sztuką, gdzie najważniejsze z pytań nie brzmiałoby wtedy – dlaczego, ale co autor miał na myśli.

To z powodu tej empirii procesu historycznego nie można powtórzyć, więcej, nie można go odtworzyć w warunkach laboratoryjnych, jak doświadczenie biologiczne, fizyczne czy chemiczne. Historia jest niepowtarzalna, choć często słyszymy fałszywą frazę: *historia się powtarza* lub *historia lubi się powtarzać*, czasem z dodatkiem: *jako kabaret czy farsa* na przykład. A szczególnie wtedy, gdy już wieje *wiatr historii*, cokolwiek to znaczy.

Deklaracja moja jest jednoznaczna – historia się nie powtarza. To jest po prostu niemożliwe, niewykonalne. A wszelkie „pokazówki”, w rodzaju rekonstrukcji wydarzeń i wesela pewnego oficera, to w istocie rodzaj historycznego *teatrum*. Nic więcej, gdzieś odegrana zwycięska, zazwyczaj, bitwa, gdzieś biegają dziesiątki małych powstańców w za dużych hełmach i z za dużą bronią u pasa, bo przecież to wygodne, łatwe w percepcji i zadowoleniu, szczególnie dla polskich, skołatanych moderną, duszy i samopoczucia. Gdzieś jeszcze można odegrać jakieś powstanie, to nic, że przegrane, ale „przelana krew”, gdzieś wspomniany historyczny ślub przyszłego bohatera itd.

I jeszcze jeden, ważny moim zdaniem, problem, o którym niemal codziennie można usłyszeć: *historia magistra vitae est*, czyli historia jest nauczycielką życia. To nieprawda, także to stwierdzam z pełną odpowiedzialnością jako historyk. Może gdzieś, kiedyś, ktoś czegoś się z historii nauczył (nie mówię,

że nauczył się historii, tylko „z historii”). Ale, co do zasady – mam wątpliwości. Dodam też, jeżeli ktoś się czegoś nauczył „z historii”, musiał to być niezwykle zdolny i przenikliwy myślowo uczeń. Na dodatek zdolny i wielce krytyczny analityk procesu historycznego. Nawet gdy znamienity Klaudiusz zapisywał: *Ja Klaudiusz...*, to przecież nie była to instrukcja postępowania, instrukcja refleksji, krytycznego spojrzenia, nauka. To *Ja Klaudiusz...* pozostawało jedynie rejestracją, z mocnym i ważnym, jak sądzę, akcentem zindywidualizowania – owo *ja*. I próbą analizy. To ważne, powinniśmy bowiem, analizując rzetelnie i sprawiedliwie proces historyczny, zapisywać refleksje w pierwszej osobie. Nie dlatego, że każdy analityk procesu historycznego to niemal *Klaudiusz*, ale dlatego że powinniśmy brać za to osobistą odpowiedzialność. Za słowo, ocenę, wskazówkę, wniosek, opinię, nazwisko itd. Historia, nauka, czytelnik, słuchacz tego się domagają. Stąd, jestem wrogiem zapisu wykorzystującego trzecią osobę: *sądzić należy*. Uważam tę formę za brak odpowiedzialności badacza, publicysty, komentatora nie tylko wobec procesu historycznego, ale również i wobec czytelnika, słuchacza. To zindywidualizowanie narracji, bez wątpienia, zwiększa nie tylko rzetelność, moim zdaniem, ale przede wszystkim, już spoglądając prawniczo czy wręcz sędownie, zwiększa odpowiedzialność indywidualną za badanie, analizę, wreszcie przekaz. Wszak, każdy solidny tekst historyczny bywa, a przynajmniej powinien być podpisany z imienia i nazwiska.

Te kilka uwag wprowadzających było mi potrzebnych, by jednoznacznie zadeklarować: ten tekst, to moje badawcze przemyślenia, moje refleksy i uwagi, moje zapiski, moja narracja, moje oceny i moje dylematy, także kontrowersje. To wynik wielu lat pracy badawczej, złych i dobrych doświadczeń „z historią”.

Zajmuję się bowiem historią już kilka dziesiątków lat. Niejedno widziałem i niejednego doświadczyłem, nieraz się potknąłem. Choć nie jest to ważne, ale akurat to doświadczenie uważam za istotne. Niejedno, zróżnicowane na ten sam temat, już przeczytałem. Doświadczałem cenzury i ingerencji polityki, ideologii i religii w badaniu i nauczaniu (wykładaniu) historii. Nawet ingerencji sądu. Doświadczyłem „zderzenia” historycznych bohaterów i „bohaterów” z takiego czy innego panteonu, wybieranych i do wierzenia podawanych, raczej nie przez historyków, chyba, że tzw. dworskich, ale polityków, ideologów, czasem duchownych. Trochę na wzór tego, co mówi bohater jednej ze sztuk Bertolta Brechta, Galileusz: *nieszczęśliwy to kraj, który potrzebuje bohaterów*².

² B. Brecht, *Życie Galileusza* (oryg. *Leben des Galilei*), prapremiera polska, Warszawa 1958. Brecht napisał tę sztukę (*epicki kawałek* – jak ją nazywał) w 1939 w języku duńskim (w Danii przebywał na emigracji). Po raz pierwszy została wystawiona w Szwajcarii (Zurych), 9 września 1943 roku. Autorem muzyki był Hanns Eisler.

Dlatego uznawałem i uznaję za jednoznaczną prawidłowość – historia była i jest naukową dyscypliną, mocno osadzoną w polityce, także bieżącej, osadzoną w ideologii, osadzoną w religii.

I to nie tylko, jak zazwyczaj uważamy, historia najnowsza czy współczesna, bliska, pamiętana. Wielu badaczy dziejów najnowszych zna to, często słyszane sformułowanie: *Ja tam byłem, widziałem, doświadczyłem tego, co też pan/pani mi tu o tej sprawie opowiada inaczej?* Problem? Tak, oczywiście, że problem – zapamiętujemy inaczej, przekazujemy inaczej, a często chcemy usłyszeć coś inaczej, niż wynika z badań, refleksji badacza, oceny i wniosku, dystansu wreszcie i rozumienia skutków itd. A czasem (często?) z wiatru historii.

Chcemy bowiem często, my społeczeństwo, *my naród, my suweren*, zapewne nie cały (nie wszyscy) poprzez historię lub dzięki historii, doświadczać rekompensaty w postaci nagrody, miłosierdzia, zrozumienia, ale też i stanięcia po mojej *katolika, ofiary* stronie. A czasem przeciw. Chcieliśmy, a myślę, że i nadal chcemy, przynajmniej w części społeczeństwa, historii jako stałego zaczynu *pokrzepiania serc, leczenia ran, rekompensaty za ofiarę*, nagrody za np. historyczną i współczesną (islam!) obronę *przedmurza chrześcijaństwa, za Jezusa, króla Polski i Maryję – też królową*, których tu w Polsce koronowano przecież dla całego katolickiego, a zatem najbardziej wartościowego, jak mówią wyznawcy i ludzie bez poczucia tolerancji jako wartości samej w sobie, uniwersalnej, świata! *Za przegrane zwycięstwa i przegranych zwycięzców*³. To też historia, społeczna historia. Historia świadomości i mentalności, historia postaw i zachowań, strategii postępowania i strategii wyboru, także bilansu, prawdziwa *social history*. Wcale nie śmieszna, a raczej ciekawa.

Te odwołania, desygnaty, projekcje, mity i totemy, o których wyżej, to nie tylko wymysł czasów zaborów, walki narodowowyzwoleńczej, mesjanizmu, towianizmu, to także potrzeba, niekiedy wręcz oczekiwanie dzisiejsze, współczesne, z desygnatami na przyszłość. Np. z desygnatem wykluczenia *wrogów Jezusa i Maryji, wrogów Polski i polskości, wrogów prawdziwego, genetycznego patriotyzmu*, zawłaszczanych brutalnie – co sugerują sprawujący aktualnie, A.D. 2016, 2017 władzę – przez niegodnych, tych *z ojczyzny dojranej* np., o czym tak pięknie, w marcu 2016 r. w jednym z miasteczek polskich mówił, wykorzystując historię oczywiście, prezydent Andrzej Duda.

³ Nawiązuję tu świadomie do książki, którą napisałem właśnie z myślą o tych problemach, konfliktach, nieporozumieniach z historią w tle. J. Chrobaczyński, *Czas nieszczęść, cierpień, oporu i walki. Przegrani zwycięzcy? Próba spojrzenia na społeczeństwo polskie pomiędzy wrześniem 1939 a majem 1945*, Kraków 2017.

Znamy te frazy oraz odwołania także z innych przekazów i relacji. Stanowią dobre tło dla „odkryć” i „zastosowań” historii przez współczesnych (ciągłość?): *tu szwabska kula*, tam *Wanda, co nie chciała Niemca*, gdzie indziej *nie będzie Niemiec pluł nam w twarz*. Jak i np., niedawne: *śląska opcja niemiecka*, i wiele, wiele innych czy podobnych w ustach polityków-wodźców partyjnych raczej, a nie polityków. Raczej manipulatorów procesem historycznym, a nie solidnych analityków procesu historycznego. A także bieżące: *jesteśmy ofiarą tej wojny*, *Niemcy zburzyli nam Warszawę*, a teraz nie mają prawa nas krytykować – to przecież głos dobitny, współcześnie współrządzącego Polską polityka, którego imienia i nazwiska nie chcę tu, przez wzgląd na Państwa słuchaczy, wymieniać. Już tak wiele zaszkodził Polsce, że jeszcze dodatkowy cytat niewiele tu zmieni.

Dalej idźmy jeszcze przez chwilę tym tropem analizy, spojrzenia: filmy, które są przecież dziełem artysty (sztuka), a nie monografią historyczną opartą na solidnej analizie podstawy źródłowej, „*Ida*” i „*Pokłosie*” niemałej części obywateli, nie mówiąc już o politykach, się nie podobają, bowiem *tak naród polski nie postępował*. Itd. Itp. W publicznej telewizji można wyświetlić kontrowersyjną „*Idę*”, ale tylko z odpowiednio spreparowaną ściągą i „leniuszkiem” przygotowanymi przez mądrzejszych, niż zwykły odbiorca filmu, *strażników* (?). Czego? Chciało by się dopowiedzieć – *strażników rewolucji*, *strażników dobrej zmiany* przeprowadzanej przez *biało-czerwoną drużynę*? *Strażników nowej historii*? I poniewierania historią jako dyscypliną naukową? Nawet minister nauki nie protestuje, w imię chociażby solidarności z nauką, za którą w *dobrej zmianie*, konstytucyjnie przecież, odpowiada!

Inny przykład to napiętnowanie, a miejscami wręcz lincz nad niedawno zmarłym Andrzejem Wajdą, reżyserem przecież wybitnym i oscarowym, za – również, obok wielu innych „przewin” – niezwykle krytyczną ocenę filmu „*Historia Roja*” w reżyserii Jerzego Zalewskiego⁴. Także i za wypowiedzi, sugestie w ocenie *lepszego sortu*. Na marginesie: to rzeczywiście bardzo słaby artystycznie

⁴ Warto tę opinię zacytować, bo wiele mówi o styku polityki i historii, ze szczególnym akcentem położonym na tzw. politykę historyczną: *Jak poważnie traktować opowieści obecnej władzy [chodzi o rząd Beaty Szydło – PiS – J. Ch.] o nowej kulturze narodowej [to z kolei nawiązanie do licznych wypowiedzi prof. Piotra Glińskiego, wicepremiera i ministra kultury i dziedzictwa narodowego – J. Ch.] o nowej kulturze narodowej, to zapowiada ją film „Historia Roja”. Oto żołnierze wykleci, leśni bojownicy, którzy z wprawą westernowych rewolwerowców rozwalają uboli, epatując formułkami o Bogu, honorze i ojczyźnie. Oblicza funkcjonariuszy komuny są do szczytu parszywe, powykrzywiane alkoholowymi grymasami w śmierdzącym zaduchu powojennych spelun. Tyle ma wystarczyć za tło dla tytułowego „Roja” – romantycznego żołnierzyka [podkr. J. Ch.], który próbuje dać nam świadectwo tragizmu swego losu, lecz z kretesem przegrywa walkę o empatię widza. Oglądałem film Jerzego Zalewskiego, co rusz kojarząc wyobraźnię wspomnieniem Macieja Chelmskiego [tu nawiązanie do wybitnego filmu Wajdy z roku 1958 „Popiół i diament” ze znakomitą rolą Zbigniewa Cybulskiego – J. Ch.]. Cyt. za: R. Kalukin, *Malarz Polski. Andrzej Wajda skończył 90 lat*, „Newsweek” nr 11, 7–13 marca 2016, s. 23.*

i merytorycznie film. Ale film, dzieło artysty, a nie naukowa monografia historyczna, to też warto podkreślić. Ale pytanie brzmi: Dlaczego tak ma być, dlaczego tak postępować z nauką, kulturą, sztuką?. Kto daje takie prawo w (jeszcze?) *demokratycznym państwie prawa*, gdzie wolność, w tym wolność nauki i wolność tworzenia, jest/powinna być, wartością niepodlegającą dyskusji?

Tysiące tak wypowiedzianych zdań słyszymy niemal codziennie – polityków, ideologów, księży, niektórych artystów, nawet profesorów/ministrów. Dlaczego?

Dlaczego tak sporo nas w historii, szczególnie tej najnowszej, dzieli, a tak mało łączy? A przecież w nauce to, co łączy (warsztat, rzetelność, sprawiedliwość w ocenach, otwartość na krytykę i dyskurs) powinno stanowić fundament, a nie powód do wykluczenia, napiętnowania, nieprzyznania środków na badania czy działalność.

Znamy tę frazę wicepremiera: *to środki publiczne, ja nimi* – tu dowolny zarys problemu – *dysponuję, w imieniu suwerena* (że zapytam – całego suwerena?). Skąd takie złogi niepewności i nieporadności rządzących wobec badaczy i twórców, iż zdaniem rządzącej krajem partii i jej przywódcy, w istocie *zwyczajnego pośła*, musi ona *stworzyć własną elitę*? Skąd manipulacja, skąd wreszcie oszczerstwa pod adresem badaczy, ale i polityków. Np. sprawa słynnego już „Bolka”, a właściwie *curiosum*: publiczna dyskusja nad biografią postaci historycznej o nazwisku znanym niemal na całym świecie, nazwisku Polaka. Czy mamy ich, tych Polaków, setki, że tak tym jedynym właściwie, o wymiarze światowym, gdy zmarł *nasz papież*, możemy szafować? Czy to rzeczywiście dyskusja naukowa, z „recepturą” i „dowodami” w tej sprawie instytucji państwowej, tj. Instytutu Pamięci Narodowej? A może bardziej to sąd tylko niektórych (to ważne, bo nie wszystkich), bardziej dyspozycyjnych, historyków Instytutu Pamięci Narodowej? Czy nie powinno zastanawiać, dlaczego tak mało w tej ważnej, „Bolkowej” dyskusji, obecności gwiazd polskiej nauki historycznej? Dlaczego w tej dyskusji nad byłym prezydentem Polski, ikoną czasu Solidarności 1980/1981, ikoną bez mała – wtedy – 10 mln ludzi, więcej publicystów, dziennikarzy, polityków? A tak niewielu historyków, nie IPN-owskich?

Inny przykład – koszmarna i niepotrzebna awantura wszczęta przez polityka, a nie historyka-badacza, o concept, scenariusz, a przede wszystkim całość niemal już ukończonego przedsięwzięcia znamienitego, jakim jest gdańskie Muzeum II Wojny Światowej? Także i dalsze postępowania zakończone dość

haniebnym odwołaniem wszystkich, którzy przygotowali tę znakomitą instytucję i wystawę. Wyszła zatem awantura polityczno-nazwiskowa, *nie ci bohaterowie*, a nie merytoryczna, i to o sporym zasięgu, bowiem koncept Muzeum to wynik pracy międzynarodowego zespołu, znacząco dysponującego większością atutów, niż skromne polityczne i intelektualne, także historyczne, zaplecze ministra-wicepremiera. Dlaczego wicepremier-minister *dobrej zmiany*, wcześniej naukowiec-badacz, związany z Polską Akademią Nauk, zatem, mam podstawy sądzić, rozumiejący, czym jest nauka i czym odróżnia się od *niby-nauki*, ten dorobek i tych badaczy, tak brutalnie lekceważy?

Mam na tak postawione pytanie, taką oto odpowiedź – to się nazywa bądź bywa nazywane: *polityką historyczną*, dziś w rozumieniu *nowej polityki historycznej*⁵. W narracji polityczno-ideologicznej, czasem i religijnej (kazania, lekcje religii, część publicystyki) przede wszystkim zaczynają dominować sformułowania niszczące wolność w nauce historycznej, a narzucające „nowe” wymogi, niekiedy wręcz już żądania: *wstawania z historycznych klęczek, nie może dominować passus ofiary, za mało patriotyzmu* itd. A zatem, utrwała się coś, co narzuca rozwiązania, wskazuje kierunki, wypływa z ducha partyjniackiej polityki i narzucanego patriotyzmu w opcji współcześnie rządzących, bo na pewno nie nauki.

Dlatego tzw. polityka historyczna to w najczystszej postaci kontrola przeszłości. A kto kontroluje (chce kontrolować) przeszłość, chce też kontrolować teraźniejszość i przyszłość. Z tego powodu, tzw. polityka historyczna nie jest nauką, jest rodzajem właśnie śmieciowej *niby-nauki*, czyli manipulacją i polityką, w istocie politykierstwem.

Uważam to za poważną skazę, wręcz obsesję *wstających z kolan*, osłabiającą samą naukę historyczną, jak i – w następstwie – historyczną edukację oraz tym samym próbę, mniej lub bardziej udaną, manipulacji świadomością historyczną. Dlatego warto zapamiętać inicjatorów i inspiratorów tego zjawiska, nacisku, z wykorzystaniem domeny i narzędzi (pieniędzy) państwa.

Choć nauka wywodzi się od starożytnych Greków (filozofia – to oni ją wymyślili, bo się zdziwili i chcieli to zdziwienie zbadać, zweryfikować, bez żadnych ograniczeń, w pełnej wolności umysłu, dziś wolności badań), to często, promując tzw. politykę historyczną, zapominamy o tym ważnym wskazaniu

⁵ Problem, definiowany jako polityka historyczna to zjawisko znacznie szersze, niż tylko uwagi, które tu zgłaszam. Zagadnienie to przeanalizowałem w innym tekście. Por. J. Chrobaczyński, *Polityka historyczna w Polsce po roku 2015. Kilka uwag i refleksji historyka*, „Chorzowskie Studia Polityczne” nr 12, 2016, s. 45–77.

i osiągnięciu Greków. Nie polityka, a wolność, tu w rozumieniu wolności badań naukowych, w stylu, który można by współcześnie zakwalifikować jako wyraźnie *butlerowski*⁶, stanowią postawę owego *mituję mądrość*. I tak powinno zostać. Ale niestety jest inaczej – pokusa odciskania piętna polityki i ideologii nad nauką bywa, dość często, silniejsza. I mimo że to się na rządzących wcześniej czy później mści, to jednak stale próbują, egzekwują, chcą narzucać i dominować. Politycznie, a nie naukowo, bowiem to polityka jest ich manierą, specjalnością, a nie nauka. To politykierstwo, a nie wolność badań naukowych, gwarantowana konstytucyjnie.

Dlatego w tym krótkim tekście chciałbym jeszcze na kilka kwestii bieżących, związanych z tym niezwykle, stale narastającym zjawiskiem nazywanym fałszywie *polityką historyczną*, zwrócić uwagę. Już w formie wręcz kalendarzowo-przypadkowo-przypadłościowej, traktując je jako swoiste studium przypadku/przypadków, zjawisko narastające w zastraszającym tempie:

– *casus* „żołnierzy wyklęto-przeklętych” – stale narastające zjawisko jednego z najbardziej niemądrych, historycznie oczywiście, pojęć. Niezwykła mitologia obok ważnej historycznie rzeczywistości: dziejów i biografii dramatu żołnierzy poakowskiego nie tylko podziemia niepodległościowego, już po rozwiązaniu Armii Krajowej (styczeń 1945 r.). *Horrendum* tego zjawiska polega też na tym, że mają go świętować również obywatele tzw. zachodnich kresów Rzeczypospolitej, gdzie tzw. żołnierzy wyklętych nie było. I gdy rzetelny historyk z lubelskiego Oddziału IPN (Maciej Sobieraj) zdecydowanie przeciwstawił się nazywaniu *bohaterem* Leonarda Zub-Zdanowicza, tzw. żołnierza wyklętego, otrzymał w macierzystej firmie propozycję nie do odrzucenia – zwolnienie z pracy. Nie przeszkadza to jednak mocnej artykulacji przez niektóre środowiska, by jednej z polskich autostrad nadać imię żołnierzy wyklętych [sic!];

– *casus* „Bolka” – Lecha Wałęsy – „historyczne” opracowania pachnące polityką i ideologią, a miejscami wręcz nienawiścią autora do bohatera, którym w swej biografii się zajmuje. Do tego uwłaczający wszelkim zasadom i normom dyskurs, a właściwie pyskówka na temat b. konstytucyjnego, wybranego w powszechnych, demokratycznych wyborach, prezydenta – postaci o wymiarze wręcz światowym;

– „zapomnienie” w Sejmie RP A.D. 2017 – zapomniano w stosownej uchwale, mówiącej o bohaterach Polski odzyskanej w 1918 r. o Ignacym Daszyńskim,

⁶ Nawiązuję tu do filozofki światowego formatu, Judith Butler, i jej ważnej myśli przewodniej dotyczącej wolności: *tam, gdzie nie ma otwartej debaty i swobodnego sporu, tam nie ma demokracji! Nie istnieje coś takiego jak „demokracja nieliberalna” – system bez podstawowych liberalnych praw i wolności nie jest godny tego miana*. Cyt. za: *Uwikłana w pleć. Wszyscy ludzie powinni móc żyć życiem, które nadaje się do życia*. Z Judith Butler rozmawiają Piotr Pacewicz i Krzysztof Pacewicz, „Wysokie Obcasy” 20 lutego 2016, s. 18.

a Poczta Polska, „zapomniała” w serii stosownych znaczków o Wincentym Witosie – przypadek?;

– kłopoty, a właściwie spostponowanie w parlamencie dotknęło Marcina Kasprzaka, który nie zdążył być komunistą, w co wielu posłów jednak wierzy;

– podobna „przypadłość”, w związku z imieniem szkoły, dotknęła Jana Brzechwę – tu pojawił się problem z pochodzeniem;

– setki, jeżeli nie tysiące mieszkańców kraju, drżą na widok ustawy dekomunizacyjnej i jej „policjanta”, tj. Instytutu Pamięci Narodowej, dotyczącej ich ulic, placów, w konsekwencji wszystkich osobistych dokumentów, bo mają to nieszczęście, że mieszkają na ulicy noszącej imię niewłaściwego bohatera – *casus* 22 lipca w jednej z małych miejscowości;

– kłopotów, na razie, uniknął, wspomniany już, słynny czołg T-34 w Nowej Hucie, którego krakowski poseł PiS i tytułarny profesor-historyk, uznał za komunistyczno-okupacyjnego wroga Nowej Huty i jej mieszkańców. Zapominając, że jednak „Czterej pancerni i sobaczka” to spora – nadal – oglądalność różnych pokoleń. Na szczęście, dzielne dzieci nowohuckie, na razie, obroniły swe miejsce zabaw;

– wojna polsko-polska i często „polsko-ruska” o pomniki, przeciw pomnikom, za pomnikami. Czasem wojna „o kamień”, o nie ten „krzyż” na pomniku, miejscu pamięci, miejscu wiecznego spoczynku itd.;

– wspomniany *ślub mjra Pileckiego*, odegrany przez lokalny teatr, zgromadził liczne grono miłośników, tylko czego: teatru, historii, rzetelnej biografii historycznej? I to z udziałem wicepremiera, za nasze, podatników, pieniądze;

– wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego o wystawie w gdańskim Muzeum II Wojny Światowej taką oto sekwencję wygłosił: *w Muzeum mamy miejsce z niepolską [sic!] narracją historyczną*;

– minister sprawiedliwości z kolei nie doczytał, jak się okazało w jednej z audycji telewizyjnych, fundamentalnej pracy oświeceniowej „O duchu praw”, gdzie pomylił pojęcia, już przecież historyczne, wykazał się niezrozumieniem istoty trójpodziału władzy itd. Musiano mu na to zwrócić uwagę, a przecież studia prawnicze, szczególnie na I roku, obejmują – między innymi – ten właśnie problem;

– jak podała prasa (24 kwietnia 2017 r.), na spotkaniu u ministra spraw zagranicznych grupy polskich historyków współpracujących w ramach zespołu Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych, dwóch posłów Kukiz’15 (historyków?) zaatakowało dwu członków tej grupy, świetnych badaczy zresztą, prof. Mirosława Filipowicza i prof. Rafała Wnuka za *ich lewicowo-liberalne [sic!] inklinacje ideologiczne i negatywny stosunek wobec obecnego rządu*, uszczegóławiając zarzut

„historycznym”, jak sądzą, argumentem: *wypowiedzi historyków na temat żołnierzy wyklętych dyskwalifikują ich [sic!] z zasiadania w tej grupie*;

– prezydent RP wyraził ciekawe spostrzeżenie, w kontekście problemów tu rozważanych: *Ja chcę takiej szkoły, która wreszcie powie otwarcie, kto był bohaterem, a kto zdrajcą!* To zdanie to przecież paranoja w ustach głowy państwa, na dodatek prawnika, więcej – naukowca (adiunkt UJ). Jakże blisko, analizując tę wypowiedź, do stalinowskiej wykładni bohatera. Czy rzeczywiście *wszystko już było* – by zacytować Ben Akibę i przypomnieć podstawy badań naukowych? Czy głowa państwa nie rozumie, iż bohater to postać zazwyczaj wewnętrznie skomplikowana, szczególnie w trudnych momentach swego życia? W konsekwencji sporo warsztatowych czy interpretacyjnych dylematów, perspektyw spojrzenia, interpretacji. Także i tego, czego dowodzą znakomite „Żywyoty świętych...” pióra wybitnego filozofa religii, prof. Zbigniewa Mikołejki⁷. Polecam i jako lekturę, i jako dobrą ilustrację rzetelnego warsztatu naukowego;

– pozostając jeszcze przez chwilę przy szkole – najnowsze informacje: od września 2017 r. w nowych podręcznikach dla klasy IV szkoły podstawowej nie znalazło się miejsce dla Lecha Wałęsy, a lista postaci, bohaterów (?) kończy się tam przecież na Janie Pawle II. Całość dopełnia ogólnik: „Solidarność i jej bohaterowie”, co oznacza dylemat nauczycielski: „Bolek” czy Wałęsa – przewodniczący NSZZ Solidarność? Czy prezydent RP, takie właśnie wytyczne, dylematy miał na myśli, zwracając się w swej wypowiedzi w kierunku szkoły i historycznej edukacji dzieci?;

– i, na koniec tego kalendarium, jeszcze jeden cytat prezydenta RP (2 maja 2017 r. – Dzień Flagi), który – mówiąc o dziadkach, dzieciach (synach, córkach) i wnukach, a za chwilę chyba dotknie to i prawnuków, godnych miana *polskich patriotów* – swą wypowiedzią potwierdził wcześniejszą uwagę posła PiS, Marka Suskiego, o *genetycznym patriotyzmie*. Obaj zatem panowie, współ

⁷ Z. Mikołejko, *Żywyoty świętych poprawione ponownie*, Warszawa 2017. Przytoczę tu, dla tego właśnie kontekstu, niemal instruktażowe pytania postawione przez wybitnego amerykańskiego historyka Timothy Snydera: *jak pisać o wielkich aktorach/sprawcach Historii?, o ludziach z „marmuru”, „żelaza” czy „stali”, by ta wiedza historyczna miała jakieś znaczenie, jakąś funkcję sprawczą w demokracji, docierając do tych, którzy dziś podejmują decyzje, szukając inspiracji, zakorzenienia we własnej historii narodowej. Twórcy historii, ci, którzy stoją dziś na pomnikach narodowych, byli ludźmi „z krwi i kości”, obdarzonymi „wyobraźnią i ambicją”, często musieli „stopić się w ogniu historii”, hartować jak stal, wytapiana z żelaza poddanego próbie ognia... A jak ich zwykle przedstawiamy? Poznajemy ich najczęściej ze szkolnych podręczników historii, gdzie pojawiają się jako „pomnikowe postaci”, odczłowieczone, wyprane z wszelkiej kontrowersji: „premier w latach...”, „minister w rządzie tego a tego”, „zasłużony w wojnie z...”. Cyt. za: T. Snyder, *Czerwony Książę*, Warszawa 2010, s. 276. Dodam jeszcze, że Snyder apeluje, przede wszystkim do badaczy-biografów, historyków w istocie, by pokazywać ich – bohaterów – inaczej, pełniej, jako ludzi z *krewi i kości*. Zwraca uwagę, iż trzeba przywrócić im podmiotowość i człowieczeństwo. *Stal każdego pomnika narodowego kiedyś została wytopiona*, pisze, i ma ze wszech miar rację. To dobra, warsztatowo solidna i obiektywna, wskazówka.*

w zespół, wymyślili i narzucili nam, historykom, i nie tylko jak sędzę historykom, nową specjalność badawczą – *genetykę historyczną*, która powinna zastąpić starą i wysłużoną genealogię. Brawo, to wielce twórcze i nikczemne zarazem. *Resortowe dzieci* okazały się pojęciem za wąskim w tej materii interpretacji *bohaterstwa* i *bohaterów* – tu świadomie ujmują pojęcia w cudzysłów, bo oznaczają „*bohaterstwo*” według dzisiaj rządzących.

Kilka uwag na koniec:

Z niepokojem obserwuję, jak szybko narasta w Polsce zjawisko gładyszalowania (współcześnie i publicystycznie nazywa się to często *grillowaniem*), obok prawa, także nauki historycznej;

Uczestniczą w tym przede wszystkim politycy, głównie obozu rządzącego, ale także część dziennikarzy czy publicystów, a także – co martwi – część (mniejsza) środowiska historycznego. Konsekwencją jest niszczenie historii jako dyscypliny naukowej. To niszczenie dopełnia też, modna ostatnio, tzw. historia alternatywna, czyli miazmaty procesu historycznego, niszczące właściwe rozumienie i sens historii;

Polityka „dobrała się” też i do szkolnej ławki „historycznej” – wyznacza swoich, „aktualnych” bohaterów, a niszczy innych, zaleca, poleca, „do wierzenia” podaje. Także dyscyplinuje, jak trzeba;

Politycy potrafią też szybko i skutecznie wyrzucić niezależnych dyrektorów instytucji, zajmujących się historią, muzealnictwem itd.;

Narasta, za przyzwoleniem politycznym, pokolenie domorosłych historyków – ministrów i funkcjonariuszy państwowych, radnych różnych szczebli, wójtów, burmistrzów, sołtysów, księży, którzy – z pomocą IPN, instytucji w końcu państwowej, utrzymywanej z podatków nas wszystkich – „porządkują” lokalne pola procesu historycznego (ulice, place, imiona bohaterów instytucji, obrzędy itd.);

Zjawisko to zaczynam też obserwować w przestrzeni kultury – np. w maju 2017 r. kandydat wskazany przez ministra kultury i wicepremiera na stanowisko dyrektora krakowskiego Narodowego Teatru Starego, w swym programie „naprawy” tegoż znakomitego teatru po Janie Klacie napisał, iż zamierza forsować *radosne* [sic!] *celebrowanie militarnego bohaterstwa*;

Drugą stroną tego procesu brutalizacji historii jako nauki pozostaje to, co trafnie uchwyciła Dorota Maślowska, w jednej z wypowiedzi: *zabrano mi ojczyznę [...] przechwycono jej symbole, flagę, hymn i Małego Powstańca i wytatuowano go na tych wszystkich czerwonych, grubych szyjach. Że zrobiono*

z tego wszystkiego obciach, paranoję, wyciągnięto jakieś absurdalne mrzonki o naszej wspaniałości i wielkości⁸;

Zamiast merytorycznych dyskusji o przeszłości, o wyjaśnianiu skomplikowanych akapitów procesu historycznego, mamy tzw. rekonstrukcje historyczne, tj. teatr przede wszystkim – sterowane, często nieporadne, amatorskie przedstawienia. Często też wspierane, świadomie bądź nieświadomie, mitologizacją i polityzacją historii (np. haniebne wypowiedzi niektórych rządzących dziś polityków, np. Jarosława Kaczyńskiego, posła PiS Stanisława Pięty, na temat migracji czy *multikulti*, w jakiejś też, uogólniającej i niesprawiedliwej perspektywie, ich „opowieści” o terroryzmie czy islamie, mylonym zazwyczaj z islamizacją);

Manipuluje się pieniędzmi publicznymi, zatem pieniędzmi nas wszystkich, płacących podatki, dla podtrzymania jednego, zadekretowanego obrazu procesu historycznego, konstruktu muzeum, właściwej wystawy itd.;

Polaryzacji uległo też środowisko historyczne. Kiedyś mówiono, że w Polsce są historycy i historycy z IPN. Dziś, chętnie bym dodał, uzupełniająco – obok tych dwu grup, pojawiła się grupa trzecia – historyków wyklętych, napiętnowanych i piętnowanych, często publicznie. Myślę nieskromnie, że obok wielu znakomitości nauki historycznej, zaliczam się do tej grupy, czego doświadczam, często, na co dzień;

Niszczy się, w imię nieporadnie zdefiniowanych i „rozpolitykowanych” czy „zideologizowanych” celów, dorobek znakomitych instytucji, trud wielu ludzi, w tym np. międzynarodowej grupy wybitnych znawców – *vide*: Muzeum II Wojny Światowej⁹, decyzje wicepremiera w sprawie Muzeum PRL w organizacji w Nowej Hucie itd.

⁸ Cyt. za: *Wojna polsko-polska pod flagą biało-czerwoną*. Z Dorotą Masłowską rozmawia Michał Nogaś, „Gazeta Wyborcza”. Magazyn Świąteczny, 6–7 maja 2017, s. 8.

⁹ Warto może decydemt „dobrej zmiany” w historii, zadedykować, wielce pouczające spostrzeżenie wybitnego niemieckiego historiografa Jürgena Kocka, który wyraźnie i zdecydowanie przeciwstawia państwową politykę historyczną, która akcentuje przede wszystkim pamięć jednostkowego narodu, historii jako nauce, która musi być – jeśli chce zachować status naukowości – wolna od wszelkich narodowych ograniczeń. To się nazywa *Gemeinsame Geschichte* (historia współdzielona – np. miejsc pamięci wspólnych dla Polaków i Niemców, można też użyć pojęcia znacznie starszego – transnarodowość). Takie jest również przesłanie czołowego przedstawiciela tzw. *Transnational History* – Australijczyka Iana Tyrella, który trafnie zauważa, że historyk powinien skupiać badawczą uwagę przede wszystkim na procesach, które zachodzą lub pojawiają się na tym, co nazywamy stykiem kultur lub stykiem grup społecznych i „wyrzywać” badania historyczne z wszelkich ograniczeń narodowych, w tym stereotypów czy paradygmatów myślenia w narracji narodowej. Dodam od siebie: także stereotypów, które towarzyszą często rządzącym. Taka postawa, tj. uwolnienie się od mocnych akcentów wyłącznie narodowych w badaniu procesu historycznego i narodowych uwikłań, stanowi samą w sobie wartość. Nieźle by zatem było, aby takie prace czytali decydenci „dobrej zmiany” i zwolennicy, szybkiego „wstawania z kolan”, także na niwie nauki historycznej. Por.: J. Kocka, 1989/91 als Zäsur in den Geschichtswissenschaften. Ein persönlicher Rückblick – wykład wygłoszony na 18th Berlin Roundtables on Transnationality, „After the Change: 1989 and the Social Sciences in the post-Cold War Era”; Ian Tyrell, *Transnational Nation: United States History in Global Perspective since 1789*. Palgrave Macmillan 2007.

Co zatem robić? Przychodzi mi do głowy tylko jedno w tej sprawie: jak śpiewał Wojciech Młynarski, *róbmy swoje*, mimo *walca*, który – na razie, jak wierzę, chwilowo – *równa* w dół. Mamy zawodowe obowiązki i zawodową odpowiedzialność. Że o moralności i rzetelności badawczej nie wspomnę. Nikt nas z tego nie zwolnił. Tylko niektórzy zwolnili się na własne życzenie. *Spisane* [dodam: i zapamiętane] *będą czyny i rozmowy*. Miłosz ma rację, *róbmy swoje*.

Historyk bowiem nie może milczeć, gdy zauważa pewne niepokojące zjawiska, czy złowrogie paralele, znane mu z analizy wcześniejszego procesu historycznego. Nie może.

Zwracam na to uwagę szczególną, trochę w duchu Kazimierza Kelles-Krauza, że historii jako nauki nie da się uprawiać w oderwaniu od historii, którą się analizuje w swych badaniach i przekazuje czytelnikom. Że jest ona polityczna w tym przede wszystkim sensie, iż niesie pewne ważne polityczne przesłanie. A mianowicie, jest/może być, ostrzeżeniem przed tym, co może się wydarzyć ponownie, choć nie powtórzyć dosłownie.

I że, mimo wszystko, także pomimo niewiary w to, że historia *magistra vitae est* (*vide*: autor tego wystąpienia), mamy – my historycy, choć nie tylko – jakiś tam wpływ na to, co może się zdarzyć, a przynajmniej, nie możemy się zwolnić od obowiązku działania, by złej przyszłości zawczasu zaradzić. To właśnie przesłanie w duchu pisarstwa Kelles-Krauza¹⁰, jak sądzę, ważna dyspozycja dla historyków, choć – powtórzę – nie tylko.

Zatem, kończąc: to nie tytułowy, jakiś tam, *wiatr dziejów* niszczy naukę historyczną, a polityka, politycy i polityczność narzucający i egzekwujący warunki spoglądania na nią. Stąd ten znak zapytania w tytule.

Zacząłem tę analizę wierszem Miłosza, a chciałbym, ku przestrodze i *ku pamięci*, zakończyć frazą z wiersza Adama Asnyka:

*Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć.*

¹⁰ Chodzi mi tu o głośny artykuł Kelles-Krauza, *W kwestii narodowości żydowskiej*, opublikowany w krakowskiej „Krytyce” Wilhelma Feldmana w 1904 r.